

**Agnieszka Kumor**

*Talizman z jeziora*

## **Rozdział I**

Dawno, dawno temu... a ściślej w czasach, gdy nawet w naszych najśmielszych wyobrażeniach Internet jeszcze nie istniał, poszukiwania rosyjskiego wydania pewnej sztuki teatralnej zawiodły mnie do Biblioteki Turgieniewa w Paryżu. A było to tak...

Niewyjaśnionym zrzędzeniem losu, którego ulubionym zajęciem jest plątać ludzkie drogi, znalazłam się w stolicy Francji. Byłam aktorką i reżyser przedstawienia, w którym miałam zagrać, poprosił o oryginalny tekst sztuki. Chciał go porównać z francuskim tłumaczeniem i poznać lepiej użyte przez autora sformułowania. Próby do spektaklu odbywały się w narodowym centrum dramatycznym na północnym przedmieściu; dojazdy okazały się żmudne, przedmieście nieciekawe, za to praca – fascynująca. Obiecałam wydobyć tekst choćby spod ziemi i służyć konsultacją. Zadanie okazało się jednak trudniejsze niż przypuszczałam. W dwóch księgarniach rosyjskich powiedziano mi, że sztuki tej od dawna już nie wznawiano. Moje szanse gwałtownie stopniały. Do tego sąsiedzi Rosjanie zmęczeni zimową aurą Paryża wyjechali na miesiąc na wieś. W nienajlepszym stanie ducha wróciłam z bezowocnych poszukiwań do domu. Otwierając drzwi do mieszkania, zauważyłam leżącą na słomiance wizytówkę. Musiała wypaść z torby, kiedy wyjmowałam klucze. „Biblioteka Turgieniewa”, odczytałam wydrukowany wypukłą elegancką czcionką napis. Może dał mi ją sprzedawca w jednej z tych księgarni, które odwiedziłam? Na odwrocie wizytówki znalazłam godziny otwarcia i adres: 11, rue Valence, w „piątej” dzielnicy. Tej samej, gdzie stoi najśłynniejszy paryski uniwersytet, Sorbona, oraz liczne jej wydziały. W średniowieczu wykłady odbywały się wyłącznie po łacinie. Pozostała nazwa – Dzielnica Łacińska. Postanowiłam udać się tam niezwłocznie.

Było smutne, bezsłoneczne popołudnie lutego. Dni skurczyły się niczym pomarszczona skórka rodzyнки i nic nie zapowiadało pierwszych, ciepłych dni marca, które miały po nich nastąpić. Otuliłam głowę i szyję grubym szalem i ruszyłam do metra. Ze stacji wysiadkowej miałam jeszcze niedługi odcinek pieszo. Stałam wreszcie pod widniejącym na wizytówce

adresem. Stara mosiężna tablica w dwóch językach: po francusku i po rosyjsku, obwieszczała, że, istotnie, w budynku znajduje się biblioteka, lecz nic nie wskazywało: gdzie jej szukać. Ot, szara, dziewiętnastowieczna kamienica, jakich wiele w Paryżu. Wśród tabliczek z nazwiskami lokatorów dojrzałam wreszcie odpowiedni przycisk. Nie wahając się dłużej, nacisnęłam go. Miast odpowiedzi, dało się słyszeć brzęczenie zwalniające blokadę ciężkich drzwi. Popchnęłam je i, przekroczywszy wysoki próg, znalazłam się na niedużej klatce schodowej. Z jedynej żarówki ukrytej w nieforemnym kloszu sączyło się blade światło. Czyściutko wypastowane schody po prawej stronie prowadziły na wyższe piętra. Nie bardzo wiedziałam, na którym szukać biblioteki, ruszyłam wolno pod górę, licząc, że w końcu na nią trafię.

I rzeczywiście, na pierwszym piętrze na drzwiach jednego z mieszkań przeczytałam: Biblioteka Turgieniewa. Drzwi były uchylone. Jakby na mnie czekały. Weszłam do środka.

Za wążiutkim, drewnianym kontuarem stał niewysoki jegomość w nieokreślonym wieku. Właściwie widać było tylko jego głowę i położone na płask dłonie, które opierał na blacie. Wydał mi się tak samo przykurzony jak stojące tam meble. Przy drzwiach zauważyłam nieduży stolik, tradycyjne wyposażenie przedpokoju. Zazwyczaj króluje na nim telefon lub można tam rzucić po wejściu klucze od mieszkania, by znaleźć je wychodząc. Z tutejszego stolika, zamiast kluczy, można było wziąć wizytówkę biblioteki z adresem i godzinami otwarcia. Odruchowo sięgnęłam po wizytówkę... ale przecież miałam już jedną! Zawahałam się i cofnęłam rękę. Mój gest śledziły znad kontuaru uważne małe oczka bibliotekarza. Patrzyły pytająco znad okularów w rogowej oprawce, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że ich właściciel ma znacznie więcej do roboty, niż asystować mojemu skrępowaniu. W istocie, nie bardzo wiedziałam, w jakim języku wyrazić cel mojej wizyty, który jednakowoż nie mógł być inny, jak wypożyczenie książki.

– Czym mogę służyć? – bibliotekarz podjął decyzję za mnie, zagajając po francusku. – *Gorące serce...* – powtórzył z namysłem, kiedy już wyłuszczyłam powód mej wizyty. – Poszukamy w katalogu, ale zdziwiłbym się gdybyśmy tego nie mieli. – Jegomość miał widać w zwyczaju mówić do siebie, gdyż jego monolog nabierał kolorów. Pierwsze, niezbyt sympatyczne wrażenie, jakie na mnie sprawił, rozwiało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Ojciec rosyjskiej komedii rodzajowej, niezrównany obserwator – mój rozmówca monologował w najlepsze, z nosem utkwionym w szufladzie z kartami książek. – Jest! – wykrzyknął wreszcie, a w jego głosie zabrzmiała nuta triumfu, jak gdyby znalazł tam autora we własnej osobie. – „Promień światła w państwie ciemności...” – rzucił z dumą, zbliżając się do kontuaru z fiszką w dłoni. Najwyraźniej cytował czyjeś zdanie o moim dramaturgu. –

Aleksander Ostrowski – dla wzmocnienia efektu położył przede mną kartę książki.

Gdybym nie wiedziała, że autor *Burzy* nie żył od z górą stu dwudziestu lat, gotowa byłam pomyśleć, że właśnie stoi przede mną.

– Aleksander Nikołajewicz Ostrowski – powtórzył jego imię pukając palcem w sygnaturę. Nie czekając aż zdążę rzucić na nią okiem lub choćby skomentować znalezisko, zaordynował:

– Proszę zaczekać.

I ruszył w kierunku regału, na którym stały szeregi książek w jednakowych szarych okładkach, ale nie zatrzymał się przy nim, lecz powędrował dalej, w głąb biblioteki. Pozostałam sama i mogłam wreszcie przyjrzeć się temu niebywałemu miejscu.

[...]